

Op

SUWALSZCZYŻNA '95

albo jak nasi wędrowali na jesieni pod ruską granicę

Piątek 25 sierpnia 1995

Przed 13 w autobusie przywitali nas pan kierownik Andrzej i pani kierowniczka Iwona. Wyjazd zaplanowano szczęśliwie po rannym deszczu, który ochłodził powietrze po długim okresie sierpniowych upałów. Pomimo tego o 13 już robiło się gorąco. Już dobry kwadrans po czasie zaczęliśmy jechać, jak sobie szedł wolniutko Januszek Cie. z wielkim ruzakiem na plecach. Miał fuksa bo inaczej musiałby znowu jechać taksówką lub baną do Iławy co by Go znowu ładnie kosztowało. Ludzie pytali tylko co on tam ma^w (tym dużym ruzaku. Zwyczajnie, ma wszystko ładnie poukładane.

Do kompletu zabrakło około siódmu osobomiejsc-wycofali się w ostatnim tygodniu-ich szkoda -niech żałują.

Droga do Iławy spokojna, tylko trochę gorąco. W Iławie na pierwszym noclegu poukładali zaobraczkowanych razem po dwóch, a inni jak chcieli to mogli się pozamieniać bo miejsc było dosyć.

Wieczorem kąpiel w jeziorze Jeziorak i było widać jak woda trochę się podniosła. Cały czas było ciepło i bez komarów i ćmów.

Stefan Cho. co ma Sony wideo ciągle latał do przodu i cofał się do tyłu jak była okazja i zdejmował wszystko jak jest w ruchu, co potem będzie pokazywał w telewizorze.

Kawał dnia: kobieta składa dwa razy szafę składaną i za każdym razem jak jedzie tramwaj to ta szafa się rozsypuje. Wola sąsiada, ten montuje i ta też się rozpada jak jedzie tramwaj. Sąsiad wchodzi do szafy mówiąc, że coś w tej szafie musi być, że się rozpada jak jedzie tramwaj. Na to wchodzi mąż i pyta sąsiada co robi w tej szafie. Ten odpowiada: nie uwierzy pan ale ja czekam na tramwaj.

Sobota 26 sierpnia 1995

Rano o godzinie 8 wyjazd z Ilawy już w gorącu w kierunku na wschód do Reszla. W Reszlu zarządzono godzinną przerwę na wypoczynek i zajęcia własne. Zwiedzaliśmy spokojne miasteczko z dominującym nad miasteczkiem zamkiem w odbudowie. W zamku czynna ładna kawiarenka, w której pani kelnerka miała kłopoty z wydawaniem reszty z należności za kawę, tak jakby nie wiedziała, że Szkoci to są Poznaniacy wypędzeni za nadmierną rozrzutność. Na targu można było kupić smaczne owoce, w tym śliwki na popędzenie. Akurat natrafiliśmy na przygotowania do uroczystych obchodów dni kultury polsko-niemieckiej z okazji zbliżającego się 1 września.

O 12 wyjazd do Św. Lipki, gdzie pobyt trwał do godziny 14. W czasie pobytu wysłuchaliśmy krótkiego koncertu organowego. Do Kętrzyna wyjechaliśmy w strugach letniego deszczu. W Kętrzynie obiad w restauracji Zamkowa. Podano pomidorową i schabowy. W zupie pływał makaron skrętkowy ładząco podobny do świderków, które to świderki były przedmiotem dyskusji, przez długi czas podróży, podróżujących w tylnej części autobusu. Tamże dyskutowano również intensywnie, jak się baby ubierają i rozbierają, dlaczego i czy mogą zademonstrować.

Po obiedzie dalsza podróż na wschód coraz to bliżej ruskiej granicy. Trasa prowadziła przez Giżycko w kierunku Suwałk aż do samych Burdeniszek, miejsca dłuższego pobytu. W Burdeniszkach brawyndów, gelejzów i innych leciutko nie dopasowanych dali do budynku z plotem z drucianych sztachetek i z trzema psami. Jeden większy był rudy, a dwa mniejsze były czarne podpalane od dołu. Przeważnie siedziały i się patrzyły. W taki sposób reszta wiary w wolnej strefie turystycznej miała jako taki spokój od tych brawyndów.

Kawał dnia: Królowej Brytyjskiej się przytrafiło. Ambasadorowie Francji, Anglii wzięli to na siebie. Ambasador wielkiego mocarstwa w imieniu swego rządu też wziął to co się zdarzyło na siebie itd.

Niedziela 27 sierpnia 1995

Rano przepiękna pogoda lecz tylko 17°C. Można było dokładniej rozejrzeć się po pensjonacie Dowcień za drucianymi sztachetkami. Do dyspozycji oddano stylową kuchnię z takimi bajerami jak się widzi w reklamach satelitarnych. Maszyny do krojenia chleba wzdłuż, na poprzeg i na szagę. Tyle, że sprzątanie po śniadaniu trwało tyle samo jak samo śniadanie. Największe wrażenie zrobiła wentylacja w wychodku, który był wielkości mniej więcej malucha a powietrze w nim było mniej więcej świeże pomimo dużego natężenia ruchu przeliczonego na jeden cylinder. O godzinie 10 rano spacerkiem do klasztoru Kamedulów na Wigrach. Na wzgórzu przed mszą spokojne rozmowy o życiu. O 12,30 msza z motywem: "nie wiem skąd przychodzicie." Po mszy interesująco oprowadził nas po obiekcie ksiądz wikary. Ciekawa i autentyczna opowieść o historii tej ziemi przekazana w profesjonalny sposób. Obiad w elegackiej restauracji MKiS w piwnicy. Bez sjęsty poobiedniej od razu wyjazd do Suwałk po to co jest potrzebne do jedzenia i picia. Po zakupach podjęto próbę odnalezienia cmentarza Jaćwingów, niestety bez powodzenia. Cmentarz był a teraz znowu go nie ma.

Wieczorem o godzinie 20 w wolnej strefie turystycznej (domki) ognisko. Trudne śpiewanie na sucho bez żadnego piwa. Doświadczenie uczy, że na sucho się nie da śpiewać, chyba, że w łazience.

Wieczorem temperatura 16°C. W dalszym ciągu bez deszczu. Ogólnie rejon Suwałk tak samo wysuszony jak Wielkopolska przed deszczem w dniu naszego wyjazdu.

Kawał dnia: Przychodzi kobieta do doktora z przestrelonym kolaniem i mówi, że chciała się zastrzelić z żalu. Doktor pyta: to dlaczego strzelala w kolano? No, zgodnie z prawidłowością dwa palce poniżej lewego sutka.

Poniedziałek 28 sierpnia 1995

Rano chmury z zapowiedzią deszczu. Temperatura 15°C. Szczęśliwie o godzinie 8,30 porze wyjazdu słońce wyszło i zaczęło ładnie grzać. Świeciło tak ładnie przez cały roboczy dzień tj. do godziny 16. O tej godzinie jeszcze całkiem ciepło 20°C. W podróży autobusem na miejsce startu na trasę miał miejsce pierwszy incydent. A mianowicie pan kierownik chciał opowiedzieć historię o sieji, skąd się tutaj wzięła i dlaczego. Za ledwie rozpoczął jak z tyłu autobusu mówią, że już to znają. Tak się nie robi madamy i zentelmeny. Jak kierownik chce się wypowiedzieć to nie należy w tym przeszkadzać. Autobusem dojechaliśmy do wioski Bryzgiel. Już w pełnym słońcu marsz drogami i ścieżkami wzdłuż jeziora Wigry. Około 10,20 pierwsza kąpiel w jeziorze Wigry, krótki odpoczynek i w dalszą drogę ścieżkami wokół jeziora. Po drodze spotykamy kormorany, drzewa z jabłkami, śliwkami tyle, że jeszcze zielone i kwaśne jak psy. Już przed przystankiem Czerwony Folwark spotykamy państwa Ludwiszewskich. Ze względu na zmęczenie nie czekamy na autobus lecz ruszamy pieszo do Starego Folwarku. Po drodze odpoczywamy pod jabloniami i robimy zakupy w sklepie u pani Jankowskiej. Kupowano piwo EB, Lech, Specjal, 10,5 i musztardę.

W Starym Folwarku oczekiwał nas już Jurek Ki. nad napojem piwopodobnym!. Wymiana wrażeń i uwag kto i czym się zajmował do tego czasu. Kupowano piwo EB, Lech, Specjal, 10,5 i Łomżyńskie. Na obiad podano pomidorową i schabowy. Januszek Cie. zmieścił się w regulaminowym czasie. Po przejściu na pieszo tej trasy pojawiły się jednak pytania; czy nie można było tej trasy przejechać autobusem, bo jednak daloby się tylko lekko nadając drogi to po ch. musimy lazić pieszo.

Wieczorem w klasztorze Kamedulów dyskoteka. Było piwo EB, Lech, Specjal, 10,5 i Łomżyńskie. Co się zaś rozchodzi o mnie to rano był taki chuch piwny, że jedynym sposobem na świeży oddech był czosnek.

O 21,50 już mocno się rozpadało i padalo całą noc jak mówili ci co szli się do jeziora wymyć.

Kawal dnia: Już po zejściu diabły pytają kobietę ile razy zdradziła męża, 100x, do kotła, następna 50x, do kotła. Następna mówi, że ani razu. Na to diabeł: doebać kłamczuszkę do 20 x i do kotła.

Wtorek 29 sierpnia 1995

Ładnie padalo dalej rano. Temperatura 13°C ciepła i mocna wilgoć w powietrzu. Dlatego nasi mogli sobie pospać trochę dłużej do 8 i nawet jeszcze jak kto chciał, bo przyszedł pan kierownik, który mieszka w wolnej strefie turystycznej z ostrym dachem i ogłosił, że na razie żadnej wycieczki nie będzie. Ale za to zaprosił wszystkich do siebie z kubkami do picia, i że będziemy siedzieć u niego w szkarpetkach.

W domku u pana kierownika interesująco o wrażeniach z podróży turystycznej wokoło świata przez 33 dni mówił Kaziu Cie. Na samym wstępie uwypuklił nietypową organizację wycieczki, a mianowicie polegającą na dużej swobodzie wyboru rozmaitych rozrywek i uciech oraz sposobu wydawania pieniędzy też zależny tylko od tego istnego. Zadeklarował gotowość udostępnienia dalszych szczegółów z pobytu. Tak, że jakby kto chciał to mógłby się zgłosić w razie czego. W dyskusji Jacek W. nawiązał do Nowej Zelandii a mianowicie że ze względu na pijaństwo rosyjskich marynarzy w Nowej Zelandii i tęsknotę do własnych dzieci odbyła się rozprawa sądowa z posądzeniem o gwałt na nieletnich za co mogliby ładnie dostać. Zdaniem niektórych obecnych prelegent nie odpowiedział wyczerpująco, ile kg jabłek zużył w Bankogku.

Akurat jak mieliśmy pojechać po zakupy do miasta przestało padać o godzinie 13 po południu. Już nie padalo, ale było tylko 13,5 stopni ciepła. W Sejnach widzieliśmy tylko centrum, pogrzeb jednego nieboszczyka a na obiad jedliśmy kartacze. Tych kartaczy nie mogli jeść nasi wegetarianie i to ci z obydwu nurtów: jajojednych, rybojednych i już napewno Ci z nurtu salatojednych. Było dużo uciechy jak pani kelnerka nie mogła rozróżnić tych z różnych nurtów i podawała salatojednym rybę a nie odwrotnie jak powinno prawidłowo być.

Po obiedzie kupowaliśmy służbowo wino; te lepsze po 1,7 zł za butelkę + 50 gr kaucja od każdej butelki. Jak zabrakło tych lepszych gatunkowych ostatnie 14 i 15 flaszki musiały być te gorsze po 1,3 zł za flaszkę. Z innych zakupów kupowali jeszcze piwo EB, Lecha, Specjal i 10,5. Zakupy mleka całkowicie się nie udały gdyż Stefanowi Jo. co ma baryton worki z mlekiem workowanym spadły na podłogę i pękły i pani kierowniczką musiały wziąć szmatę na szczołce i zgarniać je na bok. Przez to Stefan nie mógł wziąć kartonu z winem, bo by się poślizgnął na mokrych workach, co jeszcze zostały na podłodze.

Potem była już prawdziwa wycieczka autobusem, tam gdzie mieliśmy łaźnić rano jakby nie padalo. Jak było widać można nie łaźnić pieszo jak i tak można dojechać autobusem. I tak sobie ładnie przyjechaliśmy do Burdeniszek do bazy Dowcień. Już nie padalo, bo według jednego mądrego jak się je czosnek to nie może padać bo energia czosnku walczy z energią deszczu i nie może padać. Tak też było. A że padalo w całej Polsce a u nas nie to to była racja.

Kawalu dnia specjalnie nie było.

Czwartek 31 sierpnia 1995

W nocy mocno padło. Rano przed wyjazdem deszcz ustal i nie było dylematu czy jechać czy zostać. Pojechaliśmy. Temperatura 13 stopni ciepła. Niebo cały czas przykryte chmurami i lekko mżyło w czasie jazdy do jeziora Hańcza. Zeszliśmy na kilka minut na skrajny południowy brzeg aby zanurzyć ręce w najgłębszym jeziorze w Polsce. Stamtąd na północny wschód na turystyczny szlak dydaktyczny górnym obrzeżem rzeki Hańczy. Wszystko jeszcze bez deszczu chociaż wokół kłębiły się chmury i tam dalej już padło. Do rzeki Hańcza zamkli wszystkie dojścia nie wiadomo po co. Na końcu szlaku krótki pobyt w Dereckji Suwalskiego Parku Krajobrazowego w Turtuli. Tam Hania Cho. nie mogła się nacieszyć pięknym owczarkiem syberyjskim. Dalsza kumulacja chmur tak jakby się już miało napewno na deszcz. W Turtulach każdy mógł sobie nabrać kamieni z miejscowych odwiertów, żeby wiedział co jest głębiej pod ziemią. Podobno te kamienie na dodatek mają własności lecznicze. To najpierw lecieli do środka zobaczyć czy to są te same, a jak tak, to sobie brali po kilo albo dwa. Jeżeli się rozchodzi o kamienie wogóle to to jest dłuższa sprawa. Wkoło leżało dużo najrozmaitszych kamieni do kiszenia kapusty i Andrzej był zły, że nie zabrał ze sobą beczki co by sobie dopasować kamień do kapusty a na pamięć nie znał wymiarów swojej beczki i nie chciał ryzykować bez dokładnej miary. Na szczęście te kamienie z odwiertów miały z góry ustalone fi i nie było z nimi problemu. Jeżeli się rozchodzi o mnie to myślę, że mogły się przydać i Grzesio - wi, który na pytanie co ma w tym wyladowanym ruzaku ~~pow~~ powiedział, że ma balony z powietrzem, to lepiej, żeby też mógł wziąć sobie kamieni toby ludzie nie mówili żeby nie mówił gupot, bo baloników się w plecaku nie nosi tylko nadmuchane ~~na dmuchane~~ na Sylwestra i na pochodzie albo zrolowane ma się w kieszonce albo pod poduszką żeby były pod ręką na czas. Albo jeszcze tak. W czasie drogi jeden taki chodził po wszystkich i pytał co to jest, że jak się naciąga film w aparacie to się jedna ośka w tym aparacie stale kręci a druga ośka raz się kręci a raz nie. Jak mu mówili, że to coś oznacza to nie chciał wierzyć i znowu pytał innych czy to coś oznacza. W końcu ktoś mu powiedział, żeby wziął jaki kamień do kapusty albo od odwiertów i najpierw lekko uderzył w ośkę a potem w swój leb to mu się zaczęło kręcić stale a nie raz a potem nie. Jeżeli zaś się rozchodzi ogólnie to różne pożytki z kamieni, które mamy można by spisać razem i wydrukować na jednym stolku na ścieżce dydaktycznej co leci po tych kamieniach, żeby ludzie nie mówili, że z tych kamieni nic nie mamy. A jak mamy dosyć dużo to i może być lepiej i wtedy podatki na tej Ścianie Wschodniej mogłyby być jak należy i minister Borowski nie musiałby się żalić nad tymi, że co są winni, że się urodzili na tej Ścianie Wschodniej, gdzie są tylko kamienie. Z Turtuli krótko szlakiem żółtym do czerwonego i na jego końcu była Cerkiewka Starowierów w Wodzilkach. Skromniutka, ubożuchna świątynka. Dalej droga szła szlakiem nieoznaczonym przez górę Zamkową do Szurpil. Tę trasę różne

grupy pokonywały według różnych wariantów. Już wtedy rozpadalo się poważnie. Najszybciej szła grupa Darek Ma., Wojtek Zbo., Hania Cho. z nimi. Zresztą z reguły szli najszybciej i na niektórych trasach zaliczali dodatkowo wioski na boku, żeby sobie porozmawiać z soltysem i żeby nie zblądzić to się wracali tą samą drogą. W rejonie góry Kościelnej połączyły się dwie inne grupy szukające drogi, a dokładnie gdzie łączy się szlak żółty i zielony. Jak żeśmy się spotkali to około 15 turystów studiowało mapę i było jasne, że za chwilę będą pytać o drogę. Szczęśliwie pojawili się miejscowi jak szli z ryb, i krótko powiedzieli, że do Szurpil prosto.

W godzinach od 13 do 14,30 dochodzili powoli do naszego autobusu przeważnie już wysuszeni od deszczu, który jeszcze nie był taki zły.

Obiad w restauracji pod Jeleniem w Jeleniowie w postaci dwóch naleśników tak ciekich jakby były cięte na mikrotonie. Dopiero po obiedzie lunęło na fest. Przyjazd do bazy i wolnej strefy turystycznej, gdzie przydałoby się napalić na kominku ale nie dalo się i było w pokojach tylko 13 stopni ciepła. Ratunek mógł być tylko w piwie u Kamedulów. Toteż się ratowali.

Kawał dnia: wicie baco tero o tym hifie tylo godoją, że jo stale nosze na swoim przyrodzynie gumke a zdejmuje ino jak ide na strone za potrzebom i jak dupce.

Piątek 1 września 1995

Rano, o dziwo, niebo bez jednej chmurki. Na termometrze 12 stopni ciepła i w radosnych nastrojach jedziemy przez Suwałki w stronę Gołdapii do Przerośli. Na ryneczku rozpoczyna się wycieczka do celu, jakim dzisiaj jest wiadukt w Stańczykach. Przy pełnym słońcu wieje silny wiatr i na razie jest jeszcze chłodno. Jednak powoli się ociepla i po dojeździe do jeziora Boczno robi się na tyle ciepło, że można już zdejmować ciepłe rzeczy. Schodzimy do doliny Błędzianki i minąwszy spalony zajazd, ^{widujemy widoki} które zwiedzamy. Mając na dodatek lornetkę można zobaczyć wcale ładne widoki. Spowrotem jedziemy autobusem dokładnie wzdłuż granicy bo co się od samego początku przecież rozchodziło. Potem w dół koło góry Cisowej do Jeleniowa, do zajazdu pod Jeleniem, gdzie o godzinie punkt 13 mamy obiad z ryby sieji. I tutaj dalszy ciąg spontanicznego dialogu między Jurkiem Ki. a panią kierowniczką. Głównym punktem rozmowy były różne jaja zamówione specjalnie przez salatojednych co im ryba też szkodzi. Na początku było o jajach strusich, których i tak nie było, a dalej szło już o bylejakie z torby, chłopskie, z bufetu ale jak dobrze zrozumiałem panienka w kuchni usmażyła na patelni jaja kurze, które im przyniosła. Za dobre wrażenie dostaliśmy ekstra gratis herbatę a Kaziu Cie. piwo. Pani kierowniczka powiedziała, że Jurek Ki. pomimo brody się pani spodobał. Po obiedzie wyjechaliśmy do Suwałk na zakupy jak towary spożywcze i coś do picia. Dodatkowo kupowano różne kolorowe gatki w specjalnym składzie na ulicy Kościuszki w centrum. Punkt o 16 wyjazd do Burdeniszek na przygotowania do wielkiego ogniska na koniec. Ognisko było o 19,30 i dosyć małe bo właściwe pieczenie było na grillu, ^{na} które były na składzie w wolnej strefie turystycznej. Uroczyście podsumował wyjazd Andrzej Li. jako kierownik i powiedział, żeśmy mu specjalnie nie dokuczili i że w razie czego to mógłby jeszcze jaki wyjazd zrobić jakbyśmy się zgodzili. Przy okazji oblaliśmy imieniny trzech Stefanów, którzy na tą okazję postawili porządne wino. Byli to Stefan Jo. co ma baryton, Stefan Cho. co ma Sony wideo i Stefan He. co ma Eskulapa. Dobre wino splukiwało sól z kielbasy, żeby się za szybko nie psuła. Jakby ktoś chciał zobaczyć jak ta Suwalszczyzna wyglądała to Andrzej ma album z ładnymi fotografiami. Na razie z braku chętnych nie wybrali najlepszych ale co się odwlecze to nie uciecze-jutro muszą być wybrani i będą. Śpiewy zakończyły ten udany dzień.

Sobota 2 sierpnia 1995

Rano średnio 13,5 stopni ciepła. Wyjazd o 8,30. Pożegnanie z Burdeniszkami i wyjazd z całym dobytkiem nad jezioro Serwy. Na trasie autobusowej postój w Gibach, gdzie oglądamy pomnik mieszkańców ziemi augustowskiej wywiezionych po wojnie i zaginionych, autorstwa Strumilly. Pomnik zbudowany z pochylonych kamieni jak postacie ludzkie idące gromadą do nieba. Drugim obiektem był kościół pierwotnie Starowierów a aktualnie katolicki. W kościele ozdoby z rogów i poroży jeleni wywołuje mieszane uczucia. Można powiedzieć również, że poroże samo odpada jak przychodzi czas jednak widmo polowania ma się cały czas przed oczami i jakoś to nie pasuje do miejsca.

Na końcu jeziora Serwy wymarsz na szlak początkowo bez szlaku wzdłuż jeziora, a potem zielonym szlakiem aż do Starej Przewięzi. W południe już mocno padło tak, jakby deszcz właściwy przyszedł tu. I od tego momentu jakby się skończyła pogoda. Trasa według mapy i przewodnika miała mieć 14 km, ale według nóg było lekko 20. Pomimo tego grupa wyścigowa Darka Ma. Wojtka Zbo. i Hani Cho. naddała jeszcze około 6 km aby odwiedzić soltysa i porozmawiać. Dla pewności spowrotem szli jednak tak samo tyle, że już szybko.

Już w deszczu przyjazd do Augustowa na obiad o 14,30 do restauracji gdzie wieczorem szykowało się wesele, to dosyć szybko podali żebyśmy nie marudzili i było dosyć czasu na to wesele. Po obiedzie od razu bez zakupów w drogę 215 km nad Zalew Zegrzyński do domu PTTK. Dość duży syf lecz mimo tego troszkę lepiej jak dwa lata temu w Zakopanem bo nie było pluskiew, pchel i innego robactwa. Jak ktoś jeszcze wybil komary to się dało spać. Tyle, że gatki od spania jechały tym piętkiem jeszcze przez cały czas do prania. Przez to, to nawet została szkarpetka, bo normalnie jak się rozgądam czy co nie zostało to widzę po zapachu, że gdzieś tam stoi w kącie a tu nic to i została.

Tak, że na drugi dzień rano już był komplet do wyjazdu na pół godziny przed czasem. To może wynikało z ostrego kontrastu z Burdeniszkami ale pewnie to i był znak, w rejonie Stolicy za 12 złotych nocować się nie da.

Niedziela 3 września 1995

Szkoda, że już musimy jechać spowrotem. Rano już cały czas mocno leje i w tym deszczu lokujemy nasze bambette w autobusie. Podjazd ostrym wąwozem do do góry na szosę i w drogę do Żelazowej Woli, cały czas w deszczu. W czasie jazdy odbyły się wolne, tajne, bezpośrednie i całkiem demokratyczne wybory najlepszych turystek i turystów. Wyniki napewno były pewnym zaskoczeniem chociaż w duchu każdy pewnie marzył o tym zaszczyście. Już niejedne sławy przed nami wyróżnili tym berłem i honorem co za tym się kryje.

Wybory wygrali: Ulka Blaszczyk, Danka Górecka, Romek Pieprzyk i Stefek Hermez Andersz. Romka Pieprzyka z wrażenia tak zamurowała, że przez parę minut nie wiedział co się stało. Ale jak do niego dotarło co i jak to z radości rozdawał wszystkim słodkie cukierki i czekoladki.

I tak przez Żelazową Wołę dojechaliliśmy szczęśliwie do Poznania, gdzie padało, jak nie padało na wschodzie, a przestało padać jak się rozpadło na wschodzie. To lepiej, bo jak żeśmy przyjechali to ten deszcz na wschodzie nikomu nie robił krzywdy.

Dziękujemy panu Tomkowi za bezpieczną jazdę i szczęśliwy powrót do domów. Jeżeli zaś się rozchodzi ogólnie co do tych fotografek co są wlepione, to były specjalnie zdejmowane dziewczyny. Chłopaków to sobie każda zdejmie jak chce. Jak która się po kątach chowała albo robiła kwaśną minę i szła na bok jak zdejmowali to ich tu nie ma. Fotograf już słabo widzi i musiał dosyć się narobić aby dobrze zdjąć. To się niektórym dłużyło i szły sobie precz to tych tu nie ma. Ale też pewnie są na innych fotografiach bo na wycieczce były też aparaty z krótkimi rurami co zdejmowały w mig.

To mniej więcej by było wszystko.

Zdejmował i zestawiał zusammen Heniu Le. co ma gruby brzuch.